

Przystanek historia

<https://przystanekhistoria.pl/pa2/teksty/127162,Ocaleni-z-ludobojstwa-Relacja-Jana-Remiszewskiego-Kajusa.html>



Upamiętnienie 27. Wołyńskiej Dywizji Piechoty Armii Krajowej na skwerze Wołyńskim w Warszawie – 11 kamiennych kolumn-świec upamiętniających męczeństwo Polaków z 11 wołyńskich powiatów (fot. IPN)

WSPOMNIENIE

Ocaleni z ludobójstwa. Relacja Jana Remiszewskiego „Kajusa”

OKRES HISTORYCZNY

(1939-1945) II wojna światowa

28.07.2026

Jan Remiszewski, członek Związku Strzeleckiego i żołnierz 27. Wołyńskiej Dywizji Armii Krajowej, przekazuje świadectwo dotyczące zbrodni ukraińskiej z

30 sierpnia 1943 r. w Budach Ossowskich, pow. kowelski, woj. wołyńskie.

Moja wieś rodzinna to Budy Ossowskie, gm. Turzysk, pow. Kowel. Mieszkańcy mojej wsi to rdzenni Polacy – 89 numerów, nasz dom był 84. Od północy była wieś Ossa, gdzie mieszkali Niemcy, Polacy, Białorusini, z przewagą Ukraińców. Na zachodzie leżała ukraińska wieś Rewuszki (Rzewuszki), dwa kilometry na południe inna ukraińska wieś Wołczak. [...] Moi rodzice byli niepiśmienni, za rządów cara Polaków nie uczono, nie było szkoły. Teraz pobudowaliśmy szkołę czteroklasową, nauczyciele Polacy. Radość! Nasz sąsiad Stanisław Uleryk był plutonowym, zorganizował Związek Strzelecki i został komendantem – ja też należałem do Strzelców.

Pilnuj córeczkę, bo mnie na pewno zamordują

[...] Rok 1939. Ludzie mówili, że będzie wojna z Niemcami. W połowie sierpnia nastąpiła mobilizacja. Do wojska powołano mojego brata Władysława, choć był rezerwistą. Nie bałem się, myślałem, że przecież z nami jest Anglia i Francja – zwyciężymy! Ale Niemcy posuwali się dość szybko i w połowie września zaczęli ostrzeliwać Włodzimierz, do miasta jednak nie weszli. Wojsko polskie cofało się, pewnego dnia przyszło do nas trzech żołnierzy polskich i mówią, że Ukraińcy z Rewuszek chcieli rozbroić Polaków. Dodali, że sowieci weszli na Wołyń i rozbijają nasze wojsko. Zrobiło mi się bardzo smutno – to był kolejny rozbiór Polski.



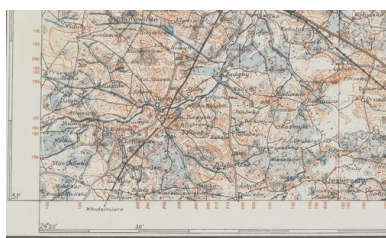
**Budy Ossowskie we fragmencie
mapy WIG z 1939 r. (ze zbiorów
Biblioteki Narodowej)**

Sklepy we Włodzimierzu zaczęły świecić pustkami, na ścianach kamienic zawisły ogromne portrety Stalina, propaganda głosiła, że sowieci nas wyzwolili z niewoli pańszczyźnianej. Zimą 1940 r. wywozili Polaków całymi rodzinami na Sybir. Wywieźli moją cioteczną siostrę, która była żoną osadnika legionisty, a jego samego Ukraińcy zamordowali na miejscu. Mówiono, że wszystkich Polaków tak wywiozą. Niewola sowiecka była

ciężka, powstawały kołchozy, a w nich norma była przymusowa, praca bez wynagrodzenia. Brakowało nafty do oświetlania mieszkań, w sklepach była tylko wódka. Sowieci nałożyli kontyngent dla gospodarstw rolnych na takie produkty, jak: zboże, mięso, mleko, sierść z koni i krów. Nastroje były podłe – ciemność, beznadziejność, smutno.

22 czerwca 1941 r. zbudził nas ze snu potężny wybuch i warkot samolotu. Wyszliśmy z mieszkania, a wtedy z kierunku Włodzimierza, gdzie było lotnisko wojskowe, wyłonił się nisko lecący samolot i znów usłyszeliśmy wybuch. Zastanawialiśmy się, czy to ćwiczenia. Ale już przed obiadem zobaczyliśmy uciekających na wschód Sowietów – a więc wojna! Nowy okupant rozstrzeliwał ludzi bez wyroku, ale Ukraińcy bardzo cieszyli się z obrotu spraw. Na Rewuszkach postawili powitalną bramę dla Niemców, a potem utworzyli własną policję, która wiernie im służyła, pomagając w mordowaniu Żydów i Polaków.

[...] Nastąpił rok 1943. Zima. Niemcy zarządzili, że za wyrąb dziesięciu hektarów lasu można przywieźć do domu trochę gałęzi. Pojechałem do pracy, wykonywali ją też znajomi Ukraińcy. Po południu nakładałem na sanie trochę gałęzi, wtem pojawiła się furmanka z policją ukraińską. Coś pogadali z Ukraińcami i podjechali do mnie. Jeden skierował w moją stronę karabin i krzyknął: „Ty kradniesz *derewo!* *Dawaj sokiru!*” [Kradniesz drzewo! Dawaj siekierę!]. I z siłą uderzył mnie kolbą karabinu pod piersi. Upadłem, nie mogłem złapać tchu. Zamierzył się uderzyć po raz kolejny i krzyknął: „Jak jeszcze raz dam to *ne chawknesz!*” [Jak dam ci jeszcze raz to ani piśniesz]. Popatrzył, zabrali mi siekierę i odjechali – wróciłem do domu ledwie żywy. Policja była ze wsi Bobły, dziesięć kilometrów od nas w kierunku na Turzysk, tam mieli swój posterunek. Mieszkańcami wsi byli Ukraińcy.



**Turzysk we fragmencie mapy WIG
z 1942 r. (ze zbiorów Biblioteki
Narodowej)**

W lutym 1943 r zaczęły krążyć pogłoski, że Polakom będzie to samo co Żydom. Kto? Niemcy? Za co? W drugiej połowie marca moja mama spotkała na drodze dwie kobiety, które niosły ukryty ogień. Mama się spytała, skąd idą, dokąd i po co im ten ogień. Odpowiedziały: „*My idemo z Bobol na Wołczak, nesemo swiatyj ogoń Samostijnej Ukrainy*”. Nie rozumieliśmy, o co tu chodzi. Potem w Wielkanoc, gdy po rezurekcji

spożywaliśmy śniadanie, usłyszeliśmy nagle serię wystrzałów od strony domu Uleryka. Spojrzeliśmy przez okno, a koło naszego sadu pojawili się jacyś ludzie z karabinami. Na polu w kierunku lasu zobaczyliśmy leżącego człowieka. To był Stanisław Uleryk, mój komendant ze Związku Strzeleckiego. Zaskoczyli go przy śniadaniu i nie zdążył uciec, ranili go w nogę. Włożyli go na wóz i pojechali na Wołczak. Zdążył powiedzieć żonie:

„Pilnuj córeczkę, bo mnie na pewno zamordują”.

Tak też się stało – nie wrócił. Byliśmy przerażeni. Po kilku dniach zjawilo się u nas kilku „bojcow” z Wołczaka. Mówili nam, że Uleryk był winny, ale Polakom i Żydom będzie dobrze w *samostijnej* [niepodległej] Ukrainie.

Nie mamy znikąd ratunku. Możemy albo uciekać, albo czekać na pewną śmierć

Dni upływały, a my baliśmy się coraz bardziej, ale była wiosna, trzeba było pracować w polu. Często znienacka wpadali do nas „bojcy”, a to napić się mleka lub obmyć przy studni. Ich sotnia na Wołczaku to byli bulbowcy. Policja z Bobeł ze swoim komendantem uciekła na Wołczak do bulbowców, tam ulokował się też ich sztab pod nazwą Ukraińska Armia Powstańcza. Raz przyszło do nas dziesięciu bulbowców, mówili, że jest zgoda z Polakami, że będziemy razem bić Niemców i kto ma broń – tu popatrzył na mnie – niech idzie do Buczka na Dominopolu. Czułem zdradę i nie poszedłem.

Nad rzeką Turią mieliśmy trzy hektary łąki, siano było już suche, więc 12 lipca 1943 r. rankiem pojechałem z ojcem po siano. Musieliśmy przejechać przez Rewuszki, a gdy mijaliśmy dom Ukraińca Makara, wybiegł za nami i zawołał: „Stójcie!”. Gdy stanęliśmy, zbliżył się do nas zapłakany i mówi:

„Oj, Antoszku! Nasi bulbowcy z Wołczaka w nocy wymordowali wszystkich ludzi w Dominopolu. Wróć się do domu, bo są w Rewuszkach. *Zabjut´ tebe i twoju detynu!*”.

Wróciliśmy bardzo smutni, mama zapytała się, co się stało. Gdy się dowiedziała, rzekła:

„Nie mamy znikąd ratunku. Możemy albo uciekać, albo czekać na pewną śmierć od bulbowców. Na Wołczaku jest ich duże zgromadzenie”.

W naszych Budach Ossowskich nie było samoobrony. Nie było jej komu organizować, bo bulbowcy wcześniej zamordowali z wyższymi stopniami wojskowych-podoficerów. Od 11 lipca nie spaliśmy już w domu, bo nie wiedzieliśmy, której nocy przyjdą i wymordują wszystkich Lachów w Budach Ossowskich. W dzień trzeba było pracować przy żniwach. Nie było gdzie uciekać, nawet do kościoła droga była zamknięta, bo wszędzie stały warty. Pilnowali nas już nie bulbowcy, lecz banderowcy. Zmienili nazwę i „*heroj*” to był już teraz Stepan Bandera.

Pewnego dnia ojciec dostał polecenie, żeby rankiem stawiał się z zaprzęgiem, wozem drabiniastym na Wołczaku. Gdy wrócił wieczorem, opowiadał że na Dominopolu zwoził snopy żyta, że przejeżdżał obok dużych kopców świeżej ziemi. Wiedział, że tam leżą pomordowani Polacy z Dominopola wraz ze swymi dziećmi. Słów mu było brak na tę okrutną rzeź ludzi. Banderowcy puścili wiadomość, że zajęli Włodzimierz po to, żeby Polacy nie uciekali. Pewnego dnia ojciec, mama i ja zdecydowaliśmy jednak uciekać do Kowla. Trzeba było iść trzydzieści kilometrów nocą i omijać ukraińskie wioski. Doszliśmy wtedy do naszego pola, gdzie rosła nieskoszona pszenica. Ojciec zapalił tam fajkę i mówi: „Tu mój dziadek, pradziadek pracowali. Nie opuszczę ojcowizny”, wróciliśmy więc do domu.

Pewnego dnia, już po rzezi w Dominopolu, wezwano mnie na Rewuszki do Bondarczuka. Miałem mu pomagać w pracach bednarskich, jako że wcześniej robiłem z drewna balie, szafliki, wiadra, maśniczki do robienia masła. Było tam trzech bednarzy ukraińskich, robiliśmy z klepek sosnowych ogromną kadź. Mówili, że to na wyprawienie skóry wołowej, która posłuży na buty banderowcom. I nagle widzimy – jadą banderowcy. Wtedy Bondarczuk zbliżył się do mnie i po cichu mówi:

„Szybko schowaj się do stodoły i nie wychodź”.

Przyszli i pozdrawiają wszystkich: „Sława Ukrainie!” Porozmawiali, odjechali, zrobiliśmy tę kadź. Poszedłem do domu, ale byłem pewny że śmierć jest blisko dla wszystkich Polaków. A jednak dalej zwoziliśmy snopy zboża do stodoły, bo wszyscy to robili. Pomimo śmiertelnego zagrożenia nasza stodoła wkrótce była pełna. Banderowcy odwiedzali nas często, słyszeliśmy ich śpiewy: „*Zhynut´, zhynut´ naszy worożenki jak rosa na sonci*” [Wyschną nasi wrogowie jak rosa na słońcu]. 23 sierpnia banderowcy zabrali całą rodzinę Szydłowskich na Wołczak – już nie powrócili. Potem, 27 sierpnia zabrali mego ojca Antoniego Remiszewskiego z wozem i końmi. Pożegnał się i już nie wrócił, został zamordowany dwadzieścia kilometrów dalej, w Lityńskim lesie. Samoobrona z Zasmyk odnalazła potem wszystkich zamordowanych furmanów z Bud Ossowskich.

Uciekajmy! Janek, uciekaj!

30 sierpnia 1943 r., a był to poniedziałek rano, przybiegła do nas sąsiadka Jędrzejewska z osiemnastoletnią córką Zosią, płacząc, mówiąc, że dzisiaj będą mordować Lachów w Budach Ossowskich. Mama moja w krzyk: „Uciekajmy! Janek, uciekaj!” i pobiegły w stronę wsi. Już było słychać strzały od strony Wołczaka, wybiegłem więc na pole. Mordercy byli blisko, strzelają, zrozumiałem, że nie zdążę uciec. Pobiegłem z powrotem na podwórze, a tam sąsiad, Remiszewski Władysław pyta mnie, co robić. A ja bez namysłu krzyczę: „Do stodoły!”. Wbiegliśmy na klepisko, zamknąłem drzwi od wewnątrz, potem wdrapałem się na sąsiek pod samą strzechę i przykryłem snopem zboża. Sąsiad wszedł na drugi sąsiek i w tej chwili rozległy się dwa strzały u Uleryka. Za chwilę słyszę wielki łomot w moim domu – szukają. Z przerażeniem zrozumiałem swój błąd, bo przecież zamknąłem drzwi od wewnątrz, a tu też będą szukać. Nagle rozległ się głośny, przerażający krzyk z kierunku domu Jędrzejewskich, gdzie mieszkała moja siostra Kazimiera z mężem Bolesławem Jędrzejewskim. Była wysoko w ciąży, ukrywali Żyda, Żyd ocalał i widział z ukrycia, że gdy banderowiec wchodził do mieszkania, Kazia skoczyła do okna, otworzyła je i w tym momencie banderowiec przebił ją bagnetem – ten krzyk to był krzyk Kazi. Strzały się oddalały, potem usłyszeliśmy rozmowy na podwórzu. Zaczęli szarpać wrota, dopiero za trzecim razem im się udało.

Cichutko modliłem się, żeby nie torturowali, bo wcześniej dwóm Zymonom złapanym nad rzeką Turią wyłupili oczy, obcięli języki i zostawili na mękę. Ukraińcy weszli na klepisko i jeden z nich mówi: „Może w *połownyku schowawsia?*” [Może schował się w sąsieku?]. Drugi mówi: „*On wże dawno wtik*” [On już dawno uciekł], ale słyszę, że wchodzi po drabinie na mój sąsiek. I w tym momencie zasnąłem ze strachu – rzecz kompletnie nie do wiary. Sąsiad obudził mnie, gdy już się ściemniało, i wyznał, że się bał, bo chrapałem. Nie szukali nas, odeszli, nie palili obejścia, bo mieli gotowy chleb, świnie na mięso, krowy na mleko – wszystko tylko brać! Ze schronu wziąłem suchary z chleba i ostrożnie poszliśmy do lasu. Słyszeliśmy ryk krów, rżenie koni i z Wołczaku śpiew pijanych „bohaterów” *hieroja* Stepana Bandery. Po czterech dniach sucharów już nie było, byliśmy głodni.

Władysław Remiszewski ostrożnie obudził w nocy wdowę Szulakiewicz, Ukrainkę, a wtedy nakarmiła nas i powiedziała, że ukrywa Mikulskiego z Dominopola. Następnej nocy postanowiliśmy, że idziemy do Włodzimierza. Prowadził Mikulski, bo znał teren. Przeszliśmy przez rzekę Turę, omijaliśmy ukraińskie wioski i nad ranem byliśmy już we Włodzimierzu.

Na początku lutego 1944 r. – już jako żołnierz 27. Wołyńskiej Dywizji Armii Krajowej – przebywałem wraz z moją kompanią pod dowództwem por. Zbigniewa Ścibora-Rylskiego „Motyla” na Rewuszkach. Poprosiłem go, by pozwolił mi pójść do mojej wsi. Władysław Bartoszewski poszedł ze mną, już z daleka widzieliśmy, że wsi nie ma. Wszystkie budynki zostały rozebrane i zabrane, tylko szkoła stała. Szukałem miejsca, gdzie zakopano siostrę Kazię, ale wszystko było przykryte śniegiem i nie znalazłem. Obok gruzu mojego domu ktoś wetknął w płot nasz obraz Matki Boskiej Częstochowskiej, ale bez ram. Powróciliśmy do kompanii ze smutkiem.



**Jeden z oddziałów 27. Wołyńskiej
Dywizji Piechoty AK na
koncentracji, ze zb. Światowego
Związku Żołnierzy Armii Krajowej
Okręg Wołyń**



**Upamiętnienie 27. Wołyńskiej
Dywizji Piechoty Armii Krajowej
na skwerze Wołyńskim w
Warszawie - pomnik w kształcie
miecza i popiersie generała Jana
Wojciecha Kiwerskiego (fot. IPN)**

Z 27. Dywizją Wołyńską Armii Krajowej przeszedłem cały szlak bojowy przez Wołyń, Polesie i województwo lubelskie. 22 lipca wkroczyli sowietci i nakazali całej dywizji zebrać się i stawić na szosie w Skrobowie koło Lubartowa. Wieczorem zostaliśmy rozbrojeni, a po dniu przetrzymywania nas dostaliśmy propozycję wstąpienia do polskiej armii Berlinga. Z kolegami skierowaliśmy się na wschód, szosą maszerowali i

przejeżdżali sowieci, a my nie mieliśmy żadnych dowodów osobistych, ale nas nie zatrzymali. Ja, Felek Wielądek i Kazimierz Dobrowolski znaleźliśmy pracę przy żniwach w Nowym Stręczynie, pow. Chełm.

Pracowałem u Wojtasia osiem miesięcy, potem dowiedziałem się, że moja ciotka Antonina Daszkiewicz osiedliła się we wsi Buśno, pow. Hrubieszów. Na wiosnę powędrowałem do niej, gdzie spędziłem siedem miesięcy. Jesienią dowiedziałem się, że moja mama żyje, powróciła z Niemiec. Ocalała z rzezi, ale została wywieziona na przymusowe roboty. Spotkanie było radosne! W 1947 r. ożeniłem się, razem z mamą mieszkaliśmy w Orchówku koło Włodawy. W 1948 r. odwiedził nas wujek mojej żony, namawiał: „Jedźcie na zachód, tam lepsza ziemia”. Z córeczką Adelą i mamą przyjechaliśmy do Kaniczek, pow. Kwidzyn, dostałem gospodarkę poniemiecką, ale musiałem ją kupić od Polski Ludowej, bo nie miałem dokumentu repatrianta. Mama zmarła 15 marca 1949 r.

Źródło: Archiwum Ewy Siemaszko

Tekst pochodzi z numeru 7-8/2023 „Biuletynu IPN”, gdzie został opublikowany w ramach bloku *Ocaleni z ludobójstwa*

COFNIJ SIĘ